

Dzień

Czasami (bardzo rzadko) pozostawiam swój punkt obserwacyjny. Wsiadam do samochodu albo pociągu i jadę przez długie godziny gdzieś, gdzie brak jest późnojesiennego błota, gdzie ludzie przesyłają sobie życzliwe spojrzenia, gdzie czas, ten codzienny dręczyciel, przyjmowany jest tak samo pogodnie jak inni mili goście.

Z jesieni miejskiej w jesień wiejską. Z miasta murowanego do miasta drewnianego. Z epoki po królu Kazimierzu Wielkim do epoki sprzed jego panowania. Tu – nieustanne zachmurzenie, tam – słońce i wszystkie barwy jesieni, górski wiatr, dalekie widoki. Już wiemy, gdzie jesteśmy: w czarodziejskim mieście – Zakopanem.

Schodzę z wysoka, z nocnej przystani, jaką było dla mnie małe schronisko na Hali Kondratowej. Schronisko, które wygląda identycznie jak przed laty, kiedy wraz z rodzicami mieszkalem w nim dni kilka i sycilem się pod tą dobrą opieką widokami przepysznyymi: w dzień – gór wysokich, a w nocy – gwiazd dalekich. Wczoraj również przyglądałem się nocnym konstelacjom namalowanym wyjątkowo wyraźnie na górskim niebie, które o skaliste szczyty się niegdyś zaczepiło i pozostało tu na zawsze na uciechę zakochanym, zwariowanym i zamyślonym, bo przeważnie takich się tutaj spotyka.